

Kuryer Poznański.

No. 161

Redaktor odpowiedzialny:

Sobota, 17 lipca 1875.

Nikazy Gruszożyński.

Rok IV

„Kuryer Poznański“ wychodzi codziennie z wyjątkiem niedziel i dni świątecznych. Przedpłata kwartalna wynosi w miesiącu 7 marek 50 fen., w cesarstwie niemieckim 9 marek 15 fen., w Austrii i Węgrzech 6 guldenów, w Francyi Belgii, Szwajcaryi i Włoszech 18 franków, w innych krajach cenną prenumeracyją w Poznaniu z dołączeniem odpowiedniego portoryum. — Biuro redakcyi przy ulicy Bycerskiej No. 2. Ekspedytory przy placu Wilhelmskim No. 8. Agenci Kuryera: w Krakowie J. Czech, księgarz; w Lwowie F. H. Richter. Ogłoszenia przyjmują się w ekspedytorii jako też u pp. R. Weiss w Berlinie, Frankfurcie n. M., Hali, Hamburgu, Lipsku, Monachium, Norymberdze, Pradze, Strassburgu, Stuttgardsie, Wiedniu, Wrocławiu, Zurichu; H. Baerentzen & Vogel w Hamburgu, Bazylei, Berlinie, Wrocławiu, Kamienicy (Chemnitz), Gdańsku, Dreźnie, Erfurcie, Frankfurcie, Genewie, Hali n. S., Hanowerze, Kolonii, Lausanne, Lipsku, Lubee, Norymberdze, Pradze, Stuttgardsie, Wiedniu, Zurichu; D. Dubo & Comp. w Frankfurcie; H. Albrecht w Berlinie, Friedrichstrasse No. 74; Havas, Latite, Ballin, place de la Bourse 8 w Paryżu. — Cena inseratów wynosi od wiersza drobnego druku sześciolatomowego 1 sgr. 6 fen., reklama 3 sgr., ogłoszenia na język polski bezpłatnie.

POZNAŃ, 17 lipca.

Nie pomyliliśmy się wczoraj w przypuszczeniu, że nieobecność króla bawarskiego celem powitania cesarza Wilhelma i to w przeddzień wyborów, a do tego po tak szumnie i rozgłosnie zapowiedzianym przez Nordd. Allg. Ztg zjeździe obu monarchów, powszechnie zrobi w świecie politycznym wrażenie i przez wszystkich bezstronnych za niedwuznaczny dowód niechęci króla Ludwika do najwyższych sfer berlińskich poczytanym być musi. Zły humor i gorczy prasy oficjalnej objawiają się najwymowniej w milczeniu, któreby chciała pokrzyć całą tę sprawę; organ zaś księcia kanclerza najniezgrabniej się teraz tłómaczy, że jej wiadomość o zjeździe pochodziła z źródła prywatnego. Na taką wymówkę każdy wzdygnąć musi ramionami.

Porucząc do sprawy wyborów w Bawaryi zapisać nam tu wypadki, że tych dni pojawił się w dziennikach niemieckich list otwarty, powszechnie przypisywany księciu Hohenlohe, w którym autor wykazuje, jak mało podstawy mają nadzieje pokładane przez Francuzów w domniemywanym rezultacie owych wyborów. Na to odpowiada Jour. des Débats, że autor się myli, gdyż Francya wycieczona nieszczęściami z wszelkich ułud, bynajmniej na rezultat wyborów bawarskich nie liczy. W tym duchu i inne odzywają się pisma paryskie.

Onegdajsze posiedzenie w francuskim Zgromadzeniu narodowym było znów bardzo burzliwe. Rzeczą toczyła się o interpelacyę w sprawie komitetu bonapartystowskiego „Appel au peuple.“ P. Savary zbijał nasamprzód twierdzenia pana Rouher, wypowiedziane na poprzednim posiedzeniu, poczem p. Haentiens odparł punkt po punkcie zarzuty pana Savary. Z kolei zabrał głos minister Buffet, stanął w obronie prefekta policji, zaprzeczył, jakoby rząd przesładował Bonapartystów i wskazał, że największe niebezpieczeństwo grozi krajowi ze strony radykałów, których intrzygi zawichrzają spokoj publiczny i przeciw którym rząd stanowczy użyje środków. — Minister sprawiedliwości p. Dufaure również bronił prefekta policji i naczelnego prokuratora od wymierzonych przeciw nim w toku dyskusji zaczepki, oświadczając, iż obaj pełnili swe obowiązki. Nie mógłby nadal pozostać w gabinecie, gdyby rząd z jak największą bezcznością nie czuwał nad knowaniami stronnictwa. — Oświadczenia obu ministrów odjęły panu Gambecie do reszty przytomność. Wpadł z krzykiem na mównicę a oszczędzając pana Dufaure wymierzył

głównie przeciw panu Buffet swe zaciekle napaści, jakoby to on właśnie podsycił zawiły bonapartystowski, których cynizm i czelność nie znają już granic, przez protegowanie dawniejszych urzędników cesarstwa a przesładowanie republikanów jako rewolucjonistów. — P. Buffet odrzekł poważnie, że byłoby błędem czuwać jedynie nad bonapartystami a spuszczać z oka radykałów. Następnie zaprotestował przeciw taktyce lewicy, która usiłuje wywołać w gabinecie rozdzielenie, gdy tymczasem ministrowie w zupełnej z sobą działają zgodzie. Urzędnicy bonapartystowcy zasługują na uznanie; zresztą jak za cesarstwa, gdy kogo cheiano oskarżyć, wolano nań: To Orleanista! tak dziś wszystko zle chcą zwać na bonapartystów. W końcu zażądał pan Buffet niedwuznacznego votum Izby wprost przeciw ministerstwu, którego się domagać musi w obec napaści pana Gambetty. — Tenże, ochłoniwszy, jak się zdaje, z gorączki, poznał swój błąd i sprzeciwił się podobnemu votum niezauważając, w skutek czego pan Buffet oświadczył, że gabinet nie chce nadal mieć pozoru, jakoby tylko był „cierpiącym“, ale domagać się musi przyjęcia przez Zgromadzenie lojalnego porządku dziennego, proponowanego przez legitymistę pana Baragnon, który brzmiał: „Zgromadzenie narodowe, ufając całkiem objaśnieniom przez rząd udzielonym, przechodzi do porządku dziennego.“ Przyjęcie zwyczajnego porządku dziennego musiałoby gabinet uważać za votum niezauważania. — Po krótkich jeszcze przemowach kilku posłów za i przeciw, odrzuciła Izba nasamprzód zwykły porządek dzienny 424 głosami przeciw 272 a przyjęła wniosek pana Baragnon 483 głosami przeciw 3, przy czem lewica wstrzymała się od głosowania.

Jak się tego można było spodziewać, poranne paryskie dzienniki z dnia wczorajszego jednomyślnie niemal potępiły gwałtowne wystąpienie Gambetty. Nawet uniarkowane gazety republikanckie uważają za wielki błąd, szkodzący niepomahu lewicy, napaści jej przywódcy na ministra Buffeta, przeciw któremu tylko przyboczne Gambetty organa République française i Rappel nowe miotają obelgi.

Po burzy onegdajszej nastąpiło ukojenie umysłów, co pozwoliło Izbie z spokojem przyjąć prawo o wyborach do senatu w pierwszym czytaniu 530 głosami przeciw 82. W końcu wniósł poseł Malartre z prawicy, aby Zgromadzenie po uchwaleniu budżetu odroczyło się aż do 30 listopada, żądając zarazem, aby jego wniosek uznano za nagły. Pomimo oporu pana Ferray, który pra-

gnął, aby Izba dopiero po uchwaleniu wszystkich praw przez rząd przełożonych się odroczyła, została nagłość wniosku pana Malartre uznaną 356 głosami przeciw 319, wniosek sam przeciw następnie odrzucony.

W Izbie niższej parlamentu angielskiego także onegdaj wieczorem ważne toczyły się sprawy. Nasamprzód uchwalono 255 głosami przeciw 12 żądanie dla księcia Walii sumy na podróż do Indyi i to 60,000 funtów na wydatki osobiste a 52,000 funtów na opędzenie kosztów podróży morskiej. Następnie stawili postowie Dilke i Fawcett niezmierniej wagi wniosek o ustanowienie ankiety (enquête) celem przygotowania reformy parlamentarnej, któraby inaczej podzieliła władzę polityczną i zmieniała dotychczasowy modus reprezentacyi krajowej — Pan Disraeli podniósł, że anomalie parlamentarnego ustroju angielskiego nie dadzą się nigdy usunąć, że przeciw należy na to baczyć, iż konstytucya angielska jest najstarszą ze wszystkich. Projekt reformy Dilkego porusza trzy kwestye: równość co do prawa głosowania, nowy podział okręgów wyborczych i reprezentacyę mniejszości. Co do dwóch pierwszych rząd dostatecznie się już zorientował, co do ostatniej jeszcze nie. Rząd jednakże nie dozwoli nigdy, by system parlamentarny angielski, któremu Anglia swą wielkość zawdzięcza, stał się przedmiotem filozoficznych mrzonek. — W skutek tego oświadczenia prezesa gabinetu, Izba odrzuciła wniosek p. Dilkego, poparty także przez posła Goeschen 190 głosami przeciw 120.

Z Hiszpanii ta jedna tylko dochodzi nas telegraficzna nowina, że generał Dorregaray zwrócił się z głównym korpusem armii swęj ku Katalonii, nie myśląc wcale o przejściu do Francyi. Nawet liberalne dzienniki przyznają, że zwycięstwa Alfonsistów nie miały tego znaczenia, jakie im chciały nadać telegramy madryckie.

Ksiądz Janke, wikaryusza katedralnego, który od siedmiu już tygodni znajduje się w tu-tejszym więzieniu za odmówienie świadectwa w sprawie tajnego delegata, sprowadzono wczoraj z celi więziennych do biura sędziego śledczego na indagacye, których przedmiotem była znów sprawa delegata. Sędzia śledczy, zanim rozpoczął badanie, zagroził księdzu J., że jeżeli i tym razem świadectwa odmówi, we więzieniu pozostanie. Ksiądz J. na pytania odpowiadał milczeniem i do celi swęj powrócił.

Walery, aniżeli swobodna wesołość, co dopiero opuszczonego Monte Pincio. Przechadzała się spiesznie to zwyciężając siebie samą, to buntując na nowo. Na chwilę nawet błysnęła w jej duszy złowroga żądza zakończenia smutnego i niejako przekleństwem ściganego żywota.

Mogło być południe, gdy znużona, jakoby przeciągnięta chorobą, otrząsnęła się nareszcie i przypomniła, że czas wrócić do codziennej pracy.

Jemminy nie zastała w domu i tak do wieczora pozostała samotną. Gdy nareszcie już się zabierała do opuszczenia pracowni, Giovanni wręczył jej w imieniu księżnej maleńki pakiecik wraz z następnym listem:

„Obiecałam Lucy Stuart oddać jej dziecięciu tę szkatułkę, gdyby w jej życiu zaszły okoliczności rozstrzygające o jej przyszłości, i gdyby dzieje jej matki mogły stanowczo na ową przyszłość oddziaływać. Nie podobno mi jest w inny sposób ci dopomóc. Nie wiem, czy tajemnicze odkryjesz: nie szczędź usiłowań, a niech cię Pan Bóg swą opieką osłania. Jeżeli zaś nic nie znajdziesz, trzeba nam będzie uznać, jak to zwykle Lucy mawiała, że wola Najwyższego zasłania ci tajemnicę, której odkrycie spowodowałoby więcej złego aniżeli dobrego. Ufa w Tym, który kieruje losami naszymi, Lucy postanowiła, aby Opatrzność sama z wyrokować raczyła, czy ci potrzeba lub nie, dowiedzieć się prawdy. Nie wolno mi ani słowem cię objaśnić. Miej tylko odwagę i dobrą nadzieję.“

„P. S. Spodziewałam się dziś Cecylii, do czekać jej się nie mogę. Alboż jest chorą? Wiem teraz stanowczo, iż między nią a Carterem nie zaszło żadne zerwanie, dla tej prostej przyczyny, że nie było żadnych wzajemnych zobowiązań i przyrzeczeń.“

Walerya kilkakrotnie list ów odczytała. Wpatrywała się w szkatułkę z pewną nieopisaną trwo- gą, i tak w palcach ścisnęła drobny kluczyk, iż tenże na jej ręku odbił się głębokim krzyżem. Uśmiechnęła się smutno na widok owego znamienia: alboż to nie było pieczęcią na jej życie całe? Nie pamiętała w tej chwili, iż wokoło krzyża owina się róża wiekistej nagrody, byle umiała w cierpliwości je hodować. Otworzyła nareszcie

Kwestya rozwiązania Zgromadzenia narodowego we Francyi.

Wszystkie stronnictwa francuskie zgadzają się na to, że Zgromadzenie narodowe musi się raz skończyć i że jego pięcioletnie blisko trwanie wyczerpnęło i mandat mu powierzony i rzeczywistą jego żywotność. Chodzi tylko o to, kiedy rozwiązanie ma nastąpić. Monarchiści je odwołają z sumiennej i uzasadnionej obawy o przyszłość, republikanie, zwłaszcza skrajni, radziby przyspieszyć, w nadziei, że nowe wybory zapewnią im zwycięstwo. Rozmaite frakcyje Izby radzą nad tą sprawą i porozumiewają się między sobą, jednakowoż do zgody jeszcze daleko. Republikanie chcieli zrazu, aby się obrady w sierpniu zakończyły. I wrzesień minie, a Izba się nie rozejdzie. Wprawdzie jest jeszcze dużo ważnych projektów do praw, czekających na rozbiór i rozstrzygnięcie, ale w każdym razie niemało ich i tak w spuściznie dla przyszłych Zgromadzeń zostanie i rzecz to mniejszej wagi, czy się ich przedyskutuje trochę mniej, lub trochę więcej. Ociąganie się Zgromadzenia pochodzi ztąd, że przyszłość przedstawia się ciemno i groźnie konserwatystom.

Nie zdobyli się na przywrócenie monarchii, ale uczynili wiele, aby się od radykalizmu zabezpieczyć. Wzniesli septenat, który przyzydentowi, uznanemu za nieodpowiedzialnego, daje położenie konstytucyjnego monarchy, przyjęli ustawę zaprowadzającą senat, prawdopodobnie jeszcze przy obradach nad prawem wyborczym zaprowadzą wybory częściowe po obwodach a nie ogólne z list; czy przeciw to wszystko wystarczy? To są groble a nie mury z ciosowego kamienia, groble sypane, które pierwsza powódź przerwie i obali.

A powódź wzbiera i ludziłby się ten, kto by mniemał, że wracający dobrobyt i dość pomyślny stan skarbu, nawet że pewne uko-

szkatułkę, postrzegła zwiędłe kwiaty, klejnociki, portret Filipa, zółtke ćwiartki dzienniczka Lucy Stuart. Pamięć matki tak była jej drogą, że mimowolnie padła na kolana. Łzy, które nie płynęły nad własną niedolą, trysnęły nareszcie z jej oczu: uczuła, jak lody ponuręj rozpacz, które jej serce tłoczyły, topniały od razu.

Atoli coż znaczyć mogły tajemnicze ostrzeżenia dobrej Hetty? Przejrzała pośpiesznie ulotne kartki dzienniczka; dzienne zwroty raz po raz do głębi duszy ją poruszały; żadne jednak słowo nie dawało klucza zagadki, tylko smutek głęboki wiał z tych zwierzeń malujących całe życie biednej Lucy Stuart.

Walerya powtórnie zajmowała w szkatułkę, przypatrywała się miniaturze, ręką dotknęła płyty z kości słońcowej przeczuwając, że chyba tutaj ukrywa się tajemnica. Atoli nigdzie sprężyny nie znalazła. Wysypała wszystkie przedmioty, aby je lepiej przejrzeć, a szkatułkę położyła na stoliku. Po chwili wstając z ziemi niebacznie ów stoliczek trąciła, i szkatulka z trzaskiem spadła na ziemię. Walerya krzyknęła z przestachu: mimowolnie nawet zniszczenie przedmiotu należącego do jej matki wydało jej się być nieomal świętokradztwem. Schyliła się, aby pozbierać szkatułkę: uderzenie rozbiło wierzach cały — posypały się niewidziane dotąd papiery.....

Gdy brzasak poranny przerwał nareszcie jej czuwanie, Walerya wstała z miejsca, rozsunęła firanki i spojrzała na bielejącą jutrzenkę. Skończyła się walka, siła zstąpiła w duszę, siła nie znająca już słabości żadnych, ponieważ płynęła z ducha ofiary — poświęcenia. Walerya pojęła nareszcie znaczenie słów umierającego ojca, a zarazem mogła spełnić obietnicę daną w owej uroczystej chwili.

Blada była śmiertelnie; podbite oczy, roz-warte nienaturalnie źrenice świadczyły o gwałtowności przeżytych wzruszeń; ale zarazem uśmiech anielski opromieniał jej lica nadziemską pięknością.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

28 WALERYA.

Powieść amerykańska

przez
Lee Bennet.

(Dalszy ciąg. Zob. nr. 152.)
XVII.

Wkrótce właściwe nastąpiły zapusty. Drobny deszczyk spadł był po południu, i Corso napełniło się mnóstwem różnorodnych parasoli. Miss Dorota dla siebie i Cecylii zapewniła sobie balkon; tego zaś dnia w sobotę, udały się obie panie do pałacu książąt Asti, z kąk najładniej można było się przypatrzeć ludowym igrzyskom. Zastaly już Cartereta w pięknym salonie o weneckich oknach. Skłonił im się dość sztywno, i wnet cofnął w tłum zaproszonych. Hetty to zauważyła z zadowoleniem.

— Podobno czas oddać Waleryi skarb powierzony mi przez jej matkę, rzekła sama do siebie.

Wszakże zwlekała jeszcze, po dwakroć rozkazała szkatułkę odnieść Waleryi, po dwakroć swój rozkaz cofnęła. A gdyby ztąd nowe troski miały powstać w życiu dziewczyny? I oto Hetty po raz pierwszy doznawała niepewności, po raz pierwszy nie umiała sobie poradzić.

Nadszedł i poniedziałek. Zmęczona bezsennością, która jej nie pozwoliła, jak zwykle, od rana zasiać do roboty, Walerya wyszła z domu. W wilią dnia tego długą z Fordem po mieście odbyła przechadzkę, a tymczasem Carteret był u niej. Jemmina znalazła go zadumany i bardzo zawiedzionym, że nie zastał Waleryi. Rozwodziła się nad tym przedmiotem bez miary, a Ford wlepił oczy w twarz młodej dziewczyny. Co tam wyczytał? nie wiem; ale wstał z miejsca i na resztę dnia zamknął się w swęj pracowni.

Tak tedy owego pięknego wiosennego poranku Walerya sama jedna skierowała kroki na Monte Pincio, piękniejszego jak kiedykolwiek o tej wczesnej porze.

Nie było prawie nikogo o tej godzinie na miejscu modnych i eleganckich przechadzek. Tu i owdzie kilku Włochów gawędziło o polityce lub maskaradzie wczorajszej; grono angielskich dziewcząt pod strażą nauczycielek rozmawiało z sobą wesoło. Dalej w samotniejszych uliczkach kilku kapłanów zwolna przechadzało się odmawiając brewarze. Nic nie przerywało głębokiej ciszy. Walerya wstąpiła na kamienny taras zbudowany od strony piazzy del Popolo, i zaczęła przypatrywać się miastu. Lekka mgła osłaniała jeszcze stolicę świata; powoli słońce ożłociło ten przejrzysty rąbek, a z rozdartych obłoków ukazały się z kolei wieżycy, kopuły, pałace i szczytki. Królując nad tym oceanem gmachów wystąpiły wnet pod zadumanym wzrokiem Waleryi Watykan, kościół św. Piotra, Panteon; na lewo Trajańska kolumna, nareszcie Kolizeum, to olbrzymie świadectwo minionej niepowrotnie epoki.

Gdy tak siedziała zapatrzona w cudownym widoku, zbudził ją odgłos kopyt końskich, a wietrzyk przyniósł jej echo wesołego śmiechu. Pochyliła się naprzód: Cecylii i Carteret przejeżdżali konno, nie zwracając głowy w jej stronę. Długo ścigała ich wzrokiem; westchnienie wyrwało się z jej piersi. „W ten sposób mimną mi się w życiu, aby niepowrotnie zniknąć; nie mnie ich przy sobie wstrzymywać.“

Od dawna ćwiczyła się w cierpieniu i cierpliwości; ta przelotna chwila ukazała jej dowodnie, ile jej trzeba było jeszcze walczyć z sobą. Doznawała nie tylko moralnego bólu, ale nadto cierpienie fizyczne rozrywała jej łożo. Wszystko się w niej buntowało: namiętna skarga do ust się cisnęła, dusza łaknęła rozpaczliwie odrobiny szczęścia, a zarazem z gorzącyć porównywała własny los z innymi. Światło poranne, śpiew ptaszak, szmer wietrzyku, wesoły gwar dziatwy, wszystko jej było wstrętnem i niemiłym. Wybiegła spiesznie drogą prowadzącą ku willi Medyceuszów. Za rychło było dla odwiedających, atoli odwieczny, któremu Giovanni dobrze był znanym, otworzył jej bez trudności.

Zapukała do drzwi i ponure ulice ogrodu. Poranny wietrzyk szemrał wśród liści. Smutek tego miejsca zgodniejszym był z usposobieniem

jenie umysłów dostarczają poznań, że burza już zażegnana.

Są ludzie, którzy zawsze powtarzają: „im gorzej, tém lepiej“ i którzy radzi widzą zbliżające się katastrofy, w przekonaniu, że tém prędzej na wybawienie zaświta. My nie podziwiamy takiego usposobienia. Rewolucye, gwałty, despotyzm jakiegokolwiek rodzaju tyle zawsze sprowadzą nieszczęście, takimi gruzami ziemię pokryją, że potem za wiele do naprawiania i do kojenia pozostaje. Ze zgnilizny trzeba wyjść, nie oglądając się za jaką cenę, jeśli są dobre żywioły, lepiej je wzmacniać i rozwijać, aby w końcu zwyciężyły. Duch, co płynie, więcej i lepiej zawsze robi, niżeli duch, co skacze, a we Francji nie brak czynników, dających otuchę na przyszłość.

Jak się stało, że Zgromadzenie narodo- we przyszło do obecnej niemocy swojej?

Francya wybierała deputowanych swoich w chwili najboleśniejszego poniżenia, pod naskiem straszliwych konieczności; kierowały nią wtedy nie ślepe przerażenie, lecz instynkt zachowawczy i chęć ratunku. Z urn wyszła Izba przeważnie konserwatywna i monarchi- czna. Republikanie byli w wielkiej mniejszo- ści, bonapartystów ledwie kilka liczono, a tak- ie oburzenie przeciw Napoleonowi III serca przepełniało, że starczyło jednej wzmianki przyjaźnej o jego rządach, aby gniew repre- zentantów narodu obudzić i spowodować ich do wyrzeczenia proskrypcji przeciw dynastji, co powstała z powszechnego głosowania.

Powoli jednak zmieniło się wszystko. Pan Thiers, który budować nigdy nie umiał, ale posiada dziwną biegłość do podkopywa- nia i rozbijania, tudzież szczególniejszy talent, aby wytlomaczyć, że zdrowy rozsądek, że po- łożenie rzeczy, że interes kraju budować nie pozwalają, wzmógł w Izbie, która mu się od- dała z konieczności, że kwestyj urzędzenia władzy należy odłożyć na później. Większość Izby nie dowierzała trochę historykowi re- wolucyj, bo znała jego przeszłość i zażądała rękopisów. Pan Thiers gotów zawsze przyrzekać, bo dotrzymać nie myśli, zawarł skwapli- wie umowę zwaną le pacte de Bordeaux. Zaledwo jednak przeszło miesiąc, jął pracować, aby sobie niezależne od większości zapewnić stanowisko. Usilność jego zwróciła się do utworzenia partji środkowej, którąby się w jednych razach opierała na prawicy przeciw lewicy, a w innych na lewicy przeciw prawicy. To powoli zdeorganizowało większość a wzmocniło mniejszość republi- kancką, rosnącą w liczbę przez nowe czę- stkowe wybory, któremi ministrowie sprzyjający lewicy kierowali. Gdy dzieło rozkładu sta- wało się coraz widoczniejsze, większość Izby zagrożona w istnieniu swoim, obaliła prezy- denta i oddała władzę marszałkowi Mac Ma- hon. Cóż zdążył, kiedy dając się uwieść or- leanistom, politykom z tój samej szkoły co pan Thiers, odroczyła znowu ostateczne roz- wiązanie zadania swego, postawiła septenat i otworzyła drogę do tych samych zachcia- nek i do tych samych praktyk.

Dziś marszałek znowu szuka punktu oparcia w systemacie równowagi i pożyczka sobie ministrów z obozu p. Thiersa.

Jest w tém zręczność, jest niepospolita znajomość monarchicznej sztuki rządzenia; ale kraj cierpi na tém i ostatecznie wiele stracić może.

Dziś już wszyscy znudzeni są Zgromadze- niem, które się nigdy na nic wielkiego zdo- był nie mogło i wielekroć razy zadokumen- towało niemoc swoją.

Gdyby zamiast bezowocnych sporów i nieplodnych targów, było się mniej zajmo- wało osobami i matactwami politycznymi a obdarzało Francją takimi prawami jak prawo o wolności wychowania, byłoby zajęło w historii wielkie miejsce, gdyby było przy- wróciło monarchją, byłby kraj błogosławił jego odwadze. Nie zdobyło się na nic śmiel- szego, więc dzieje chyba mu dobre i uczciwe chęci przyznają.

W obec słabości i chwiejności rządu i w obec niepewności kierunków w Izbie, wzrosły w kraju dwie siły: bonapartyzm, którego zabiegłość i organizacya dał nam po- znać ostatni raport pana Savary, i radyka- lizm, który tak jest pewny jutra, że się na- wet zdobył na pozorne umiarkowanie i na- wet przez usta p. Gambetty dotąd ostrożnie przemawiał.

Rok temu pisaliśmy, że gdy przyjdą no- we wybory, wszystkie stronnictwa obecnie istniejące stracą, krom radykalistów i bona- partystów. To samo zdanie powtarzamy dzi- siaj. Bonapartyści wzmocnią się niezawodnie,

bo się krzątają i wiedzą czego chcą. Rady- kaliści naliczą wiele zwycięstw wyborczych, bo śmieli. Urojenia orleanistów i przyjaciół pana Thiersa rozproszą się jak mgła poranna. Jak niegdyś pan Barodet zwyciężył pana de Rémusat, tak i w przyszłych wyborach lewy środek będzie musiał ustąpić miejsca lewicy.

Bodajby gotujące się przejście nie zni- weczyło zasiewów dobrego i nie opóźniło od- rodzenia, bodajby się obyło we Francji bez wstrząśnień i ruin, bodajby Francuzi nie wy- wołali słabością swoją nowych najazdów. Wielki ten kraj przedstawia w Europie tyle szlachetnych i wzniosłych rzeczy, że wszelkie jego zaćmienie a cóż dopiero osłabienie są prawdziwą klęską dla świata.

KORRESPONDENCJE KURYERA POZNAŃSKIEGO.

Z Krobkiego, 15 lipca.

(Wiece wielkopolskie a „Gazeta Toruńska.“)

(x.) Nareszcie przerwała Gazeta Toruńska w nr. 157 wyczekujące swe milczenie o wie- cach wielkopolskich i nie dla tego, aby swym czy- telnikom podać dokładny obraz tych wieców i ich rezultaty, społeczność pod tym względem zacięka- wić i do działania w tym kierunku pobudzić; lecz żeby się przychylić do pojedynczych osobistości i sprawę jakby chybioną przedstawić. Bo tak po- jąć ją musi każdy czytelnik Gazety Toruń- skiej, który nic dotąd o wiecach na ziemi krob- skiej, z niżej nie wyczytał, zastanowiwszy się nad następnymi słowami przeglądu politycznego z dnia 13 lipca, które są:

Wiece te, jak wiadomo, rozpoczął w Wielkopolsce p. dr. Szymański i on też był duszą tych zgromadzeń, on wlewał w nie to, co lud zajmowało, a co wreszcie i podstawę pochwalał w Kurjerze stanowi. Z uwie- żeniem p. dr. Szymańskiego wiecie ustali. Wiemy przecież od osób, do których p. dr. Szymański w zaufaniu się wy- rażał, że nie znajdował w ludziach, którzy mu do pomocy stanęli, tego rozumienia potrzeb ludu i istoty ludowych zgromadzeń, którego się spodziewał. Współpracownicy jego; zamiast trzymać się rzeczy ściśle, błąkali się często w ogólnikach, prawili de omnibus rebus et quibusdam aliis, a zamiast dążyć do pouczenia ludu o rzeczach na czasie będących i starać się o to, aby ich lud zrozumiał i pojął jasno jaką rozbierną kwestyą, żądali od niego obietnic i przyrzeczeń, że pójdzie zgodnie w pewnym kierunku.

Nie przeczę, że uwieszenie p. dr. Szymań- skiego na chwilowy zastój tych zgromadzeń wpłynęło, ale nie sądzę, aby sprawa tém samém upadła, inne miasta powiatu krobkiego niezawodnie w krótkim czasie o tém nas pouczą. Zresztą od- były się cztery wiece w krobkiem, dwa za współ- działaniem albo przewodnictwem p. dr. Szymań- skiego, dwa bez jego współdziałania; w pierwszym i drugim razie po jednym wiecu policyja rozwią- zała, a po jednym udało się przeprowadzić. Zkądżeż tedy „wie“ Gazeta Toruńska, iż dr. Szymański „nie znajdował w ludziach, którzy mu do pomocy stanęli, tego rozumienia potrzeb ludu, którego się spodziewał?“ — Zkąd tak do- kładnie się poinformowała szanowna Gazeta, że „współpracownicy prawili de omnibus rebus et quibusdam aliis?“ — że „zamiast dążyć do po- uczenia ludu o rzeczach na czasie będących, żądali od dr. Szymańskiego obietnic i przyrzeczeń, że pójdzie zgodnie w pewnym kierunku?“ Zape- wnić mogą szanowną Gazetę Toruńską, że p. dr. Szymański zjeżdżał na wiece, porozumiewał się naprzód z ludźmi, którzy znają potrzeby ludu, i mając grunt przez nich przygotowany, bo inaczej nie byłoby te wiece tak świetnie wypadły i ludu tak zciekawili; a że nie każdy mówca odpowie zupełnie zadaniu doń stawianemu osobliwie w rzecz- czech nowych, toć się pewnie niejednemu przyda- rzy (nie od razu majster), ale że żaden z nich „de omnibus“ nie prawili, to najlepiej poświadczą słuchacze. Co się zaś tyczy tego, aby współpra- cownicy p. dr. Szymańskiego zamiast dążyć do pouczenia ludu, do innego zmierzać chcieli celu i „żądali od niego obietnic i przyrzeczeń, że pójdzie zgodnie w pewnym kierunku“, to chyba ba- jeczka. Na poufném zebraniu, na którym współ- pracownicy z p. dr. Szymańskim rozbiłali sprawę wieców, nie było wcale mowy o zobowiązaniu kogośkolwiek, bo wszystkimi kierowała jedna myśl i jeden duch, wystąpienie w obronie najświętszych praw Kościoła i narodowości.

Rada szanownej Gazety, aby „w interesie ogólniejszego udziału na zgromadzeniach tych szersze sobie zakresić pole i traktować tam tak dobrze o rzeczach ściśle katolickich jak i politycz- nych, a nawet konstytucyjnych wogóle“, przy- chodzi post festum; znać szanowna Gazeta nie przejrzała sprawozdań, nawet rezolucji uchwalonych ra naszych wiecach, z nich bowiem wyniosłaby była przekonanie, że nie było tam „pewnej jedno- stronności“, ale rozbierną kwestyę „na czasie“, jeśli była jaka jednostronność, to chyba ta, że nie spotrzeżyliśmy na wiecu ani jednego z tych, którzy tak pompatycznie „oświatę“ ludu szerzyli.

Co się zaś tyczy nazwy, to nam bardzo do- twarzy Wiec polski katolicki, w niej wszystko zawarte, nie potrzebujemy się wstyżać w obec Boga i świata wyznać, czém jesteśmy: Po- lakami katolikami!

Bydgoszcz, 15 lipca.

(Kronika miejscowa.)

(Y.) W całym Księstwie nie ma pewnie, prócz Piły, tak zniemczalonego miasta jak Bydgoszcz. Mniej obeznanemu z miejscowymi stosunkami zdawałoby się, że miasto nasze, to punkt dla polskości zu- pełnie stracony, lecz przypatrzysz się z bliska mieszkańcom, mianowicie po przedmieściach na- szych, przekonamy się, że tu na wiecznych posa-

dach wzrosły żywioły polski, trzymający się ściśle wiary ojców, nietylko nie dogorywa, jak antagoni- ści nasi utrzymywali chcieli, ale z każdym dniem wzrasta. Dziwna zaiste, że lud ten bez wszelkiej opieki z jakiejś strony, mimo różnorodnych po- kus z prawej nie zbacza drogi, owszem tak pod względem religijnym, jak narodowym tradycji wier- nie się trzyma.

Jak ongi Czerskianerzy w tutejszem mieście nader mało zwolenników nauki swej zwabić byli w stanie, tak dzisiaj nie negą nas ani Reinkensy, ani Wolmanny, bo latorośl, pielęgnowana przez lat dziesiątki przez takiego ogrodnika, jakim był ks. dziekan Turkowski, nieodzwołanęj pamięci, złych owoców wydać nie mogła.

Lecz nie ma reguły bez wyjątku, dla tego też niestety wśród ogólnego pomieszania pojęć, jakie dziś na tym zmateryalizowanym świecie panuje, mamy do zapisania tylko jeden przypadek, gdzie z pomiędzy Polaków tutejszych nauczyciel wyższy przy szkole realnej w ten sposób swój starokatol- icyzm stwierdził, że znany adres wierzopoddaj- czy księcia na Raciborzu podpisał, trzymając się niezawodnie zasady Fryderyka II, że każdy wed- dług swego „fasonu“ zbawionym być może.

Bo też rzeczywiście wątpliwe, aby gdziekolwiek pod względem wykonywania obowiązków na nas cięż- cych tak fałszywe miano wyobrażenie, jak u nas. Gdzie tylko okiem spojrzymy, wszędzie niemal wieje jakiś chłód syberyjski na rzeczy tak żywo nas obcho- dzące, iż zdaje się, jakobyśmy się gwałtem w bezwyznaniowych kosmopolitów przedzierzgnąć chcieli.

Mielśmy wprawdzie tak zwanych przodowni- ków narodu, którzy jako propagatorowie już to „oświaty ludowej“, już to „interesów moralnych“, lub innych instytucji po niezasłużone sięgali wa- wrzyny, lecz ci najmniej byli zdolni potrzeby umy- słowe ludu zaspokoić, może głównie dla tego, że się o to wcale nie starali. Mówię tu całkiem ogólni- kowo, przecież może mi później wypadnie pomó- wić bliżej o niektórych patryotach naszych, usiłu- jących zamącić opinią publiczną.

O wykonywaniu praw kościelno-politycznych mało co u nas słychać. W zeszłym miesiącu miał w tutejszym sądzie ks. Dziegiecki z Potulic termin o przekroczenie ustaw majowych, w którym atoli nie stanął. Podobno sprawę tę dla tego od- roczone, że prokurator oskarżenie uzupełnił.

Tutejszy zakład rękodzielniczy dla kobiet, w październiku r. z. założony, pod umiejętném kie- rownictwem panny Heleny Gościńskiej bardzo do- brze prosperuje. Od 1 b. m. otworzono w nim jeszcze kurs introligatorstwa, w którym introliga- tor p. Kuczkowski odnośnych lekcji udziela. Zakład ten, pod tak pomyślnemi auspicyami w życie wprowadzony, do którego nietylko z Księstwa i Prus Zachodnich, ale i z bliskiego Królestwa płeć piękna na naukę dąży, z czasem błogie wyda- owoce.

Kurjer miejscowy i prowincjonalny.

* Doniesienia urzędowe. W Reichs- und Staats- Anzeigerze donosi ministerstwo sprawiedliwości, że radcy sądu apelacyjnego Dr. Reichensperger w Kolonii, radcy sądu ziemskiego baronowi Hedders- dorff w Kolonii i dyrektorowi sądu powiatowego Varneseus w Lippstadt udzielono żądanej dymisyj z przyzwoleniem emerytury.

* Doniesienia kościelne. Jutro w Archidiecezje sumę odprawy JWks. kanonik Klupp, kazanie powie Msgr. Szóldrski.

* Z powodu sporu, czy należy pisać Self jour help, jak to czyni mogliński korespondent Dziennika, czy też Help yourself, jak my utrzymu- jemy, należy przypomnieć, że znane dzieło Samuela Smiles, nosi tytuł Self-Help. W tym razie jest to rzeczownik złożony, który znaczy własna po- moc. Zaś Help yourself jest słowo w trybie rozka- zującym i znaczy: Pomagaj sam sobie. Dawne to przysłowie angielskie, często we wszystkich moralnych książkach powtarzane i ekonomistów politycznych, jak Adam Smith. Wyrazu jour nie ma w angielskim ję- zyku. Jak w francuskim tak i w nim nie można dowo- dnie wyrazów przekładać. Szyk zawsze jest jeden. Po- wyższy więc frazes na wspaniałoność przez korespon- denta moglińskiego brzmiał, jak gdyby ktoś po francusku napisał: Toi aide et aidera Dieu te, zamiast Aide-toi et Dieu t'aidera. Korespondent powo- łuje się na p. Kraszewskiego. Chętnie zdajemy się na sąd tego ostatniego. Ten, pod którego kierownictwem wychodzi dziś zbiorowe wydanie wszystkich dzieł Szeks- pira w polskim przekładzie, nigdy nie mógł takiej rażą- cęj pomyłki popełnić. Tłumaczenie polskie dzieła Sa- muela Smiles wyszło w Krakowie w 1863 p. t.: Pra- wdą a Pracą. Jest to przedruk poprawny warszaw- skiego wydania, dokonanego staraniem Redakcji Prze- glądu Tygodniowego.

* Na tablicę nagrobną dla księdza kanonika Wo- ciechowskiego nadesłali nam dalej: X. Schneider w Pnie- wach 3 m., ks. Szymański z Dziewierzewa 3 m. Ogółem wpłynęło 211 m. 50 fen.

* Zagranicznymi poddawiacze do wychodztwa. Chcąc zapobiedz agitacyom przybywającym po większej części z zagranicy osób poddawiających ludność tutejszą do wy- chodztwa, wydał niedawno temu rząd ziemski w Szamotułach rozporządzenie do władz policyjnych w powie- cie, według którego na mocy prawa z dnia 7 maja 1853 rzezonym przedsiębiorcom w ulatwianiu wychodztwa w o- bębnie państwa pruskiego rzemiosło swe tylko przez kon- cesyonowanych krajowców wykonywać wolno. Nie po- zwala się im zatem, jak to już kilkakrotnie wyrokami są- dowemi zakonstatowano, z wychodzcami układów o prze- wiezienie itd. z pominięciem ich agentów w drodze prostej korespondencyi lub inny jaki sposób w monarchji pruskiej zawierają lub ulatwiać. Władzom policyjnym przy- kazano, aby każda kontrawencya tego rodzaju oddawały pod sąd two sądowe.

* W ogrodzie zoologicznym rozpoczęło się w tych dniach budowa ogródka na niedźwiedzie. Są bowiem już w drodze dwa młode niedźwiedzie z Tatrow pochodzące. — Agent bankowy pan Huebner z Gniezna przysłał w dar- ze młodego jaźwa. Kilka mniejszych akwizycyji zwie- rząt krajowych już od kilku ożywia ogród.

* Przejechano mniej więcej tydzień temu na Sze- wskiej ulicy dwuletnie dziecko, /synka krawca Mikola- jewskiego. Teraz dziecko to wskutek ówczesnego poka- leczenia umarło.

* Ferye sądowe. Tak w sądzie apelacyjnym jako też i we wszystkich sądach powiatowych deputacyach sądowych i komisjach sądowych w departamencie poznań- skim rozpoczęła się ferye z dniem 21 b. m. i trwać będą aż do 1 września. Podczas feryi nie będą się odbywały żadne sprawy wyjąwszy jedynie te, które z prawa za- nagle uważane będą. Tak strony zatem jak i rzecznicy powinni się stosownie do ogłoszenia sądu apelacyjnego we wszystkich nie nagłych sprawach wstrzymać od po- dania wniosków; w nagłych zaś wypadkach żądać po- winni obrobienia sprawy swej w osobném miarém „spraw- y feryjnej“ oznaczeniem podaniu i należycie podanie swe umotywować.

* Myśliwim wolno stosownie do przepisów prawa o ochronie zwierzyzny z dnia 26 lutego 1870, w tym miesiącu strzelać: Jelenie, danieli samce i rogacze, kaczki drobie bekasy i ptactwo wodne i na bagnach się gnieźdzące. Ochraniać natomiast należy i strzelać nie wolno: Łani, danieli samice i sarni ani też ich kozłat, dalej jaźwów, głuszców i cietrzewi, bażantów, kuropatw, jarząbków, przepiórek i zajęcy.

* Targ na remoty odbył się w Grodzisku w czwar- tek 15 b. m. Sprowadzono wogóle około 60 koni z któ- rych komisya uznała za zdadne i zakupiła sztuk 28. Ce- ny płacono niezle, od 420 do 840 m., to też panowie producenci byli podobno i zadowoleni.

* Ukarane łakomstwo. Z Dobrzyce donoszą, że w Fabianowie umarli w tych dniach krótko po so- bie: gospodarz Richter, żona jego i dwoje dzieci. Zmarli mieli podobno użyć na pokarm mięso z krowy padłej na zapalenie śledziony.

* Proces. Przed sądem powiatowym w Międzycho- dzie toczyła się 15 b. m. sprawa przeciw całemu dozo- rowi kościelnemu i nauczycielowi z Kamionny o o- brząną pana Kicka, gdy tenże jeszcze był kapelanem w Tarnowicach. Oskarżeni wystosowali list do księdza Kieka, który zawierał następujący ustęp: „Gdyż to mu- simy ks. Dobrodziejowi oświadczyć, że ksiądz, który się w tych czasach o probostwo stara u nas w Księstwie, na szacunek nie zasługuje, etc.“ Chociaż oskarżeni twier- dzili, iż w tém nie mieli żadnego animus injuriandi, je- dnakowoż każdy z nich na 15 marek kary wskazany został.

* O pobycie J. E. Biskupa kieleckiego Jks. Kuliń- skiego w Piotrkowie Tydzień tameczny donosi: Prócz krótkotrwałego w r. z., w przejeździe do Będzina, wstępu tegoż samego ks. Biskupa Kulińskiego, miasto nasze od lat dwudziestu nie było zaszczycone wizytą któregokol- wiek z dostojników Kościoła. Ostatni przebywał tu w r. 1855 s. p. Marszewski Biskup dycezyi kujawsko-kali- ski, udzielając Sakramentu Bierzmowania zewsząd gar- nącym się tłumom wiernych, co ulatwiał podówczas na- der liczny zjazd kapłanów, przygotowujących przystępu- jących do s. sakramentu, słuchaniem spowiedzi i wygła- szaniem odpowiednich nauk. J. E. ks. Biskup Kuliński raczył przybyć z Kiele w dniu 6 bm. wieczorem i zatrzy- mać się w domu farskiego probostwa. Nazajutrz we- środe, nie bacząc na trudy podróży, już o godzinie 9 rano ks. Biskup z pontyfikalną procesyą wyszedł z ko- ściola targowego na cmentarz grzebalny, gdzie we wzniesio- nej przez p. K. Burgharda kaplicy, po konsekracyi ołtar- za, odprawił nabożeństwo i przemówił tłumacząc wymo- wnie zgromadzonemu znaczenie i potrzebę religii dla ka- żdego człowieka; poczem z całą procesyą powrócił do fary. Następnego dnia, we czwartek, J. E. ks. Biskup celebrował pontyfikalnie sumę w kościele farnym, po której ks. Waberski, profesor seminarjum włocławskiego, wyłożył przystępującym ważność Sakramentu Bierzmo- wania. W piątek zaś po odprawieniu mszy św. J. E. ks. Biskup konsekrował portaltie i kielichy do ościennych kościołów. W oba te dni liczne tłumy pobożnych z okoli- cy, głównie wskazyw z tutejszej parafii, napelniały od- świtu do wieczora kościół farny, przygotowując się do uroczystego aktu umocnienia w wierze. Niemordowany w posługach religijnych dostojny pasterz, udzielił Sakra- mentu Bierzmowania 2977 osobom i przemawiał do nich dwukrotnie każdego dnia, wykładając w słowach pełnych wzniosłej prostoty i religijnego namaszczenia, znaczenie darów Ducha Świętego. Tak mała stółunkowo liczba przyjmujących Sakrament Bierzmowania, w dycezyi od- dawna nie mającej własnego pasterza, wynika zapewne ztąd, że zjazd okolicznych kapłanów, ze zbiegu okoli- czności lub przychylności od nich niezależnych, nie odpo- wiadał liczbie zgromadzonego ludu; obecni więc ledwie w liczbie 11 duchowni, nie byli w możności wysłu- chać wszystkich wiernych żądających spowiedzi. Wypa- dkowo przejeżdżający na czas feryi alumni akademii duchownej w Petersburgu i bawiący na wakacyach w do- mach rodzinnych z seminarjum włocławskiego, pełnili obowiązki asystentów: co przynajmniej w części, w obec- małej liczby księży, zajętych bezustannie spowiedzią, za- stępowało koniecznie uroczyste otczenie dostojnego pa- stera podczas odprawianych nabożeństw i ceremonii. Miejscowy chór amatorski, tak w kościele farnym, jak i w kaplicy cmentarnej, towarzyszył modlom kapłanów.

* Kalendarz. Jutro, w niedzielę dnia 18 lipca św. Szymona. Wschód słońca o godzinie 3 mi- nut 59; zachód o godzinie 8 minut 12. Dłu- gość dnia 16 godz. 17 minut.

Pełnia księżycy dnia 19 lipca o godzinie 2 po południu.

Wypadki historyczne. Dnia 18 lipca 1410 bitwa z Krzyżakami pod Świeciem. — 1515 Zygmunt I. w Wiedniu na zjeździe monarchów. — 1657 traktat z Danją przeciw Szwecji. — 1850 wybuch okropnego pożaru w Krakowie.

Pojutrze w poniedziałek, dnia 19 lipca św. Win- centego z Pauli. Wschód słońca o godzinie 4 minut 1, zachód o godzinie 8 minut 10. Dłu- gość dnia 16 godzin 17 minut.

Wypadki historyczne. Dnia 12 lipca 1410 zdebycie zamku Morangen. — 1569 heid Alberta księcia pruskiego. — 1702 bitwy ze Szwedami pod Kliszowem i Pińczowem. — 1794 napad Moskwy na Wilno.

Jarmarki. Dnia 19 lipca: Jeziorano, Brzeg, Bytom, Opole; dnia 20 lipca: Ostrów, Lukta, Wielawa, Bytom; dnia 21 lipca: Mikołów; dnia 22 lipca: Lukta; dnia 23 lipca: Barciany.

Wiadomości polityczne.

* Berlin, 16 lipca. [Położenie am- basadora francuzkiego przy tutej- szym dworze. — Rozporządzenie po- ufne p. Falka. — Sprawa szlezwicka. — Wiadomości bieżące i dworskie.] W ostatnim numerze Czasu znajdujemy korespondencyą z Poczdamu, która o drażliwym po- łożeniu pana Gontaut-Biron, o czém już wspo- minaliśmy, tak się rozpisuje:

Pisałem wam już o położeniu p. Gontaut Biron przy dworze berlińskim. Mówiłem, że poseł francuzki przyjmuje u siebie kwiat towarzysztwa, kiedy tymczasem ta część tegoż, która była u księcia Bismarcka, jest wielce mięszana a przynajmniej nie tak dobrana. Nie może to być miłym kanclerzowi, zwłaszcza, że od czasu walki religijnej przetrzeźwił się więcej jeszcze szereg odwieczających go, gdy tymczasem ambasada francu- ska miewała częstych gości z pośród przeciwników księ- cia Bismarcka.

Prócz tego nieprzyjemną i to jest księciu Bi- smarckowi, że p. Gontaut Biron jest katolikiem jawnie praktykującym i przyjmującym u siebie dość często Oj- ców z klasztoru Dominikanów. Książę Bismarck radby więc się pozbyć tego ambasadora. Byłby chętnie w do- brych stosunkach z dyplomata z szkoły Thiersa, albo

